Nr. 23. We Lwowie, Wtorek dnia 7. Czerwca. 1892.

# Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO"

pod redakcją *Stanisława Rossowskiego.*

## SZEWC WINCENTY.

Opowiedział

Tadeusz Pepłowski.

IV.

(*Dokończenie*).

Za plebanją w niskiej izbie
Obok dziatek, obok żony,
Biedny majster siada czasem
Nad obuwiem pochylony.

A niejeden dzień przemija
Bez roboty — bez pieniędzy: —
Chyba przyjdzie żonie, dziatkom
Umrzeć z głodu, umrzeć w nędzy.

Osowiał biedak bardzo,
Zmienił się do niepoznania —
Anioł smutku swemi skrzydły
Blade czoło mu osłania.

Rozchorował się na dobre,
Choć go męczy kaszlu zmora,
Nie ma nawet czem opłacić
Aptekarza i doktora.

Często cały dzień przeleży
W kącie izby na barłogu —
Coraz smutniej w niskiej chacie:
Głód i nędza stają w progu.

Raz wieczorem, skoro w domu
Ani grosza już nie było,
Chory majster zwlókł się z łoża
Prawie z ponadludzką siłą.

W piersi, smutkiem przygnębionej,
Jakaś walka wre straszliwa,
Aż po chwili rozmyślania
Tak do żony się odzywa:

„Lepiej zrzucić pychę z serca,
Niźli ginąć z głodu w chacie,
Pójdę zatem niemca prosić
O zajęcie przy warsztacie.

„Jak mi ciężko to przychodzi,
Widzisz w niebie, wielki Boże —
Niech opatrzność Twoja, Panie,
Mnie biednemu dopomoże."

Począł zwolna się ubierać,
Wziął do ręki kij sękaty,
„Wkrótce wrócę", rzekł do żony,
I opuścił progi chaty.

V.

W samym rynku oświetlonym,
Przed obuwia nowym składem,
Schorowany i zmęczony
Stał z obliczem strasznie bladem.

Spojrzał w jasne wnętrze sklepu,
Ną wystawę okazałą —
Drzwi otworzył i do środka
Z rezygnacją wszedł nieśmiało.

Przed obliczem pryncypała
Biedny majster się użala,
Jak go w czarną przepaść nędzy
Wtrąca chwiejna losów fala;

Błaga, aby żonę, dziatki
Pan pryncypał miał na względzie
I roboty mu udzielił,
A dozgonnie wdzięcznym będzie.

„Mój człowieku — prawi kupiec —
Czego wy właściwie chcecie?
My obuwie już gotowe
Sprowadzamy z fabryk przecie.

„Do naprawek, aż za wiele
Mamy ludzi przy warsztacie —
Idźcie sobie, bo na próżno
Drogi czas mi zabieracie."

Wyszedł z sklepu — na ulicy
Rozpacz go ogarnia niema —
By nie upadł o futrynę
Dłońmi oparł się obiema.

Aż się w piersi tłuc poczęło
Wincentemu biedne serce,
Gdy pomyślał, że z rodziną
Spędzi starość w poniewierce.

W oświetlone patrzy okno
I wspomina czasy owe,
Kiedy w własnym sklepie siadał,
Nad obuwiem chyląc głowę;

Kiedy, jeszcze będąc zdrowym,
Żył bez troski i w spokoju
I nie zaznał nigdy biedy
Przy codziennej pracy znoju.

Zwolna począł się pocieszać:
„Są i dobrzy ludzie przecie,
Co nie dadzą biedakowi,
Zginąć marnie na tym świecie.

„Ot naprzykład burmistrzowa
Dotąd wspiera mnie w potrzebie —
Niech ją za to wynagrodzi
Przenajświętsza Panna w niebie.

„Pójdę do niej — może wezmę
Na obuwie nowe miarę —
Może ponaprawiać każe
Dla dzieciaków buty stare.

„Z czasem przecież będzie lepiej,
Trzeba czekać — niema rady",
I do serca zbolałego
Wpadł nadziei promyk blady.

VI.

Nagle stretwiał — chciałby mówić,
Lecz na ustach mrą mu słowa: —
Do nowego sklepu wchodzi
Właśnie pani burmistrzowa.

Spojrzał za nią w drzwi oszklone,
Co się jasnym blaskiem złocą,
I bezradny spytał siebie:
„Dokąd udam się i po co?"

Uczuł w chwili tej okropnej,
Że daremnie umysł biedzi,
I na zapytanie owo
Już nie znajdzie odpowiedzi.

Niema rozpacz w rozbolałej
Piersi coraz bardziej wzrasta —
Począł zwolna iść bez celu —
Po ulicach błądzić miasta.



ryk lub Franuś, lub ktokolwiek inny, byle nie ten nieznośny głupi Alojzy...

Było mi tak wstrętnem odgrywać przed nim rolę upokorzonej, że opamiętałam się w tej chwili. Nie puszczając książki, śmiałym ruchem ujęłam świecę i mruknąwszy „przepraszam" chciałam odejść.

Lecz on zastąpił mi drogę i rzekł po swojemu zimno i obojętnie:

— To ja, przepraszam panią... ale widzę tu u pani moją książkę, której pani w żaden sposób pozwolić czytać nie mogę...

— Ach, to pańska książka! — rzekłam wzgardliwie, kładąc ją niezbyt delikatnie na stolik — o, gdybym była to wiedziała, nie byłabym jej brała... z pewnością...

Kiwnęłam lekko głową i wyszłam z pokoju...

Miałam przynajmniej tę satysfakcję, że widziałam, jak pobladł i usta mu drgnęły...

Ale byłam niepocieszona, widząc w myśli już naprzód ironiczne miny Henryka i Franusia przy jutrzejszym obiedzie.

I nasłuchałam się tu rzeczywiście za tę książkę, a wszystkiemu był winien naturalnie ten mruk Alojzy... ach, od tej chwili znienawidziłam go prawie!

Przemyśliwałam ciągle o zemście, lecz trudno to było, bo nie znałam go prawie i nie wiedziałam zupełnie, co go może zirytować.

Razu pewnego Genia przyniosła wycinek z jakiegoś czasopisma humorystycznego, mianowicie baladę niezmiernie komiczną p. t. „Don Alonzo". Zaczynała sie ona od słów:

„Chudy, blady i ponury
„Don Alonzo
„Już opuszcza twiedzy mury
„Don Alonzo
„Cienki, długi, jak poeta
„Don Alonzo
„Zwiędły, suchy, jak asceta
„Don Alonzo... etc..."

— Kogo poznajecie po tym rysopisie? — zapytała, gdyśmy po przyczytaniu ballady zachodziły się od śmiechu.

— Ależ Alojzego... naturalnie! — zawołałyśmy

# DON ALONZO.

Nowela

PRZEZ

Kazimirę Antonowiczównę.

LWÓW.
Z drukarni „Dziennika Polskiego" plac Marjacki l. 7.
pod zarządem Fr. Kattnera.
1892.

Wracającą już do domu
Burmistrzowę przed ratuszem
Ujrzał wreszcie — więc przystanął
Z uchylonym kapeluszem.

„Pani burmistrzowa o mnie
Biednym szewcu — rzekł w pokorze —
Całkiem, widzę, zapomniała —
Czy to z mojej winy może?

„Z obstalunków mi zleconych
Była zawsze pani rada —
Dziś u pani dobrodziejki
Człek w niełaskę już popada.“

„Nie mam czasu na ulicy
Bawić się w dysputę z wami —
Że roboty wam nie daję,
Toście temu winni sami.

„Bucik w składzie zakupiony
Leży zgrabnie i wygodnie —
Wy za drogo mi liczycie,
Nie umiejąc krajać modnie.

„A do tego poza miastem
Za plebanją aż mieszkacie —
Sługa moja was nie mogła
Raz odszukać w waszej chacie.

„Wiem słyszałam że już bieda
U was w domu jest za progiem
Macie tutaj kilka groszy
I odejdźcie sobie z Bogiem.“

VII.

Pieniądz srebrny z głuchym jękiem
Wypadł z szewca drżącej dłoni
I, po bruku tocząc kręgi,
Straszną pieśń rozpaczy dzwoni.

Odszedł, całą siłą ducha
Nieprzepartą naprzód gnany —
Wreszcie przed obuwia składem
Stanął bolem skołatany.

„Zatem już do tego doszło
—Rzekł do siebie gniewny blady —
Że na starość wraz z rodziną
Będę musiał zejść na dziady:“

Z nienawiścią patrzy w okno,
Chwilę ściska pięść kurczowo,
Nagle — jednym śmiałym ruchem
Rozbił szybę kryształową.

Pociemniało w oczach szewca,
Świat z nim począł krążyć cały —
Wkońcu stracił równowagę
I na ziemię padł omdlały.

Z sklepu wybiegł sam pryncypał,
Gniewem płoną chmurne lica:
„Na policję bierzcie draba!
Wybił szybę pijanica!“

Sklep półkolem otoczyło
Wnet przechodniów liczne grono,
A po chwili omdlałego
Na policję odwiedziono.

W ciemnej izbie, na tapczanie,
Kryjąc blade czoło w dłon,
Usiadł majster i myślami
W czarną swoją przyszłość goni.

Monotonny, suchy kaszel
Często chorą pierś rozrywa —
Kaszel, który zapowiada,
Że się życia rwą ogniwa.

I przypomniał sobie biedak
Swe rozstanie z dziećmi, z żoną,
Jak w izdebce nań czekają
Z twarzą smutną wygłodzoną.

Łza srebrzysta — łza gorąca
Popłynęła mu po twarzy —
Tylko Bóg w niebiesiech widzi,
Jak się przed nim nędzarz skarży...

VIII.

Poza miastem na cmentarzu,
Kędy brzoza rośnie krzywa,
Szewc Wincenty pod mogiłką
Snem wieczystym odpoczywa.

Słonko boże, uśmiechnięte,
Witające świat i ludzi —
Już nędzarza uśpionego
Złotym blaskiem nie obudzi.

Obcym jest mu kodeks karny
I policja i sędziowie: —
Przed najwyższym sędzią w niebie
Za uczynki swe odpowie.

Śniąc — nie widzi polnych kwiatów,
Które, chyląc się ku ziemi,
Na mogiłce jego płaczą
Rankiem łzami perlistemi.

I nie słyszy ptasząt chóru,
Chwalącego stwórcę nieba —
I nie słyszy własnych dziatek,
Wołających z głodu: — chleba! —

# PRZYJACIELE ARTYSTÓW.

Mam przyjaciela oddanego mi — nielitościwie. Nazywa się Eugeniusz.

Malarzu lub nowelisto, rzeźbiarzu lub poeto! Artysto, cieszący się sławą, czyż nie zdobywasz wraz z nią swego... Eugeniusza? Czyż nie posiada go zresztą każdy z naszych „znanych“?

Bywa to zazwyczaj gimnazjalny kolega, podbity od dzieciństwa wyższością twego „geniusza“ czasami dawny towarzysz pracy, porzucający sztukę w uznaniu własnej bezsilności, ciężkiej amator, który nie zdziaławszy nigdy nic, sądzi, iż zna się na wszystkiem, a zawsze sybaryta, walczący twą walką, zwycięzca tryumfujący twojem zwycięztwem, słowem, „dusza drugorzędna,“ która pragnąc nadaremnie żyć własnym kosztem zainstalowała się w... twojej.

Ze zdeptanej próżności, z zawiedzionych nadziei z całego zmarnowanego kapitału snów i marzeń zebrane szczątki, lokuje on na... twym talencie, zbierając odsetki twoich tryumfów.

To też bywa tak dumnym z ciebie, tak ambitnym za ciebie, i tak obraźliwym i drażliwym z tego powodu, że przyjaźń jego staje się zaraz m wzruszająca i... przeraźliwa.

Nikt nie oddaje ci tyle niedźwiedzich przysług z lepszą chęcią; nikt nie zasmuca z uczciwym zamiarem, nie zaczarowywa z gorętszem zamiarem.

Jesteś przypuszczam autorem dramatycznym w pełni pracy, to jest w pełni — złudzeń, radości zapomnienia! Wchodzi Eugeniusz — twój Eugeniusz — wystraszony:

— Cóżeś ty zrobił temu X?

— Dlaczego?

— Jak to dlaczegoż nie czytałeś jego artykułu?

— Nie.

— Oto jest.

Ma go przy sobie — zawsze — podaje. Jeżeli odmawiasz przeczytania — nalega. —

— Ależ czytaj koniecznie. Dobrze jest wiedzieć zawsze kto z nami, a kto przeciwko—nam.

— Aż tak! No, proszę? Czyż artykuł tak ostry?

— Haniebny! No, nie zabierze go ze sobą do raju, zaręczam ci.

— Zatem bardzo surowy?

— Okropny, powiadam ci. Tak się nie obchodzi z człowiekiem talentu, bo niechaj sobie mówi, co chce, ty masz talent. Czytaj. Czytaj!

— Dziękuję. To zbyteczne.

— Ależ nie. Trzeba go przeczytać! Masz

---



pokoju, z którego jedne drzwi prowadziły do ich pokoju, a drugie do kuchni.

Chodziło o to, by przybyć tę przestrzeń, nie budząc p. Ostrowskiej, która miała sen nadzwyczaj czujny,

— Kto pójdzie? — powtórzyła Genia—ciągnijmy węzełki! Zgodziłyśmy się na to, a los niegodziwy wskazał mnie jako godną podjęcia się tej sprawy.

Dla większego bezpieczeństwa zrzuciłam buciki i ubrałam pantofelki, by nie stukać korkami, poczem zaopatrzywszy się w świecę i zapałki, udałam się w drogę.

Przez jadalnię udało mi się przejść szczęśliwie, tylko w kuchni potrąciłam stołek... Przystanęłam, nadsłuchując, czy nikt się nie rusza, ale ponieważ cisza panowała zupełna, więc poszłam dalej...

Z bijącem trochę sercem weszłam do kawalerskiego sanktuarjum i przymknęłam zlekka drzwi za sobą. Zapaliłam świecę i zaczęłam szybko przeglądać książki leżące na pierwszym stoliku. Stolików tych było trzy; widocznie każdy z młodych panów miał swój stolik dla siebie. Na dwóch szukałam nadaremnie, udałam się więc do trzeciego stojącego tuż pod oknem wychodzącem na podwórze.

— Enreka! — znalazłam już leżącą pod atlasem zoologicznym... Tak jest, była ta sama, czerwona, podłużna, z obdartą trochę okładzinką...

Zaciekawiona spojrzałam na tytuł który spotęgował moją ciekawość do trzeciej potęgi:

„Sonata Kreutzerowska“

Sonata!... Trzeba bowiem wiedzieć, że jestem nadzwyczaj muzykalną... Muzykę ubóstwiam i w grze na fortepianie doprowadziłam nawet do niepośledniej doskonałości...

Zapominając o miejscu, w którem się znajduję, zostawiłam świecę na stole i zaczęłam gorączkowo przerzucać pierwsze kartki...

Nagle usłyszałam poza soba szelest...

Obejrzałam się szybko i skamieniałam z przerażenia i ze wstydu.

Na progu stał Alojzy, wpatrując się we mnie z ironicznym uśmiechem...

Ach, cobym ja była dała za to, żeby to był Hen-

I czyta się w końcu, ulegając prawu przyciągania — złego, temu prawu, które każe nam zięcać się nad chorym zębem, wsłuchiwać w szczegóły rzuconej na nas k lumnji i usilnie dobijać się o wszystko, co nam największą, na razie sprawić może przykrość.

To też samo stosuje się do najmniejszych drobnostek.

Wszystko, co może ci być szkodliwem albo choćby niemiłem, jego gorliwość, — odkrywa jego niepokój — powiększa, jego oburzenie — potęguje, jego przyjaźń wreszcie — przestrasza.

Sztuka twoja przysporzyła kasie 50.000 franków. On boi się, by tylko nie zeszła z afisza... Teatr przyjął twą czteroaktową komedję... On wątpi, czy ją wystawią! Potrzebujesz Coquelina! Drży z niepokoju że wyjedzie do — Ameryki!.. Liczysz na naiwną... Trwoży się, aby nie przestała nią być widocznie.

A cóż dopiero na jeneralnej próbie: Tam trzeba widzieć go, jak czuwa nad wszystkiem, — jest w każdym kącie. Na scenie, za kulisami, w orkiestrze, garderobie w sali... Wszędzie go go pełno: siada, wstaje, chodzi zagląda rozrzucając na prawo i na lewo słowa zachęty, lub wysłuchując skwapliwie informacji. Zziajany, zmęczony, przejęty, manifestuje kłopoty i troski z uroczystą miną człowieka, który pragnie utrzymać się na wysokości zdania.

W każdej chwili wpada wzruszony za kulisy:

— Czy wiesz? Trzecia część drugiego aktu nie dobra! A nie mówiłem. Trzeba to skrócić!

— Cóż znowu!

— Koniecznie. Przynajmniej „le mont de la fin". Sarcey powiedział: Oh!

— Już za późno!

— Ależ kiedy ci mówię, że Sarcey powiedział: Oh!... Słyszałem doskonale.

— Tem gorzej. Trudno!

— A przytem panna Reichemberg, jest źle uczesana, Baillet połknął swoją odpowiedź... zawsze jednakowy, a Bartet... Nie wiem, co im się dzisiaj stało, wszyscy, ale to powiadam ci — wszyscy, jakoś nie w swoim sosie. Czy mam ci szczerze powiedzieć? Dla mnie gorzkie to rozczarowanie... No, jeżeli tak zagrają jutro... Ja im powiem.

— Nie! Nie! Nie niespokój ich, proszę cię.

— Powiem... powiem.

— Eugeniuszu!

Już go nie ma. Męczy artystów, plącze im myśli, przeszkadza, oszałamia — Usłyszawszy zaś dzwonek reżysera, powraca na na miejsce wołając w drodze:

„Już dobrze. Wszystko załatwione. Gdyby tylko jutro... Zresztą... Wszystko w ręku Boga!"

Właściwem jednak dlań polem jest — premiera.

Po każdym akcie przychodzi do cię drżący, złamany, siny, zgrzybiały. Nie mówi już, lecz — szepcze, nie chodzi, lecz — się wlecze.

Łzy ma w oczach, łzy w głosie. Wczoraj był lekarzem przy chorym, dzisiaj jest żałobnikiem przy zmarłym. A jednak dotąd zasłona spuszczała się za każdym razem wśród nie dwuznacznych oklasków, teatr cały się śmieje, znajomi winszują tłumnie; sprawa zatem wydaje się w trzech czwartych wygraną. — Eugeniusz tajemniczem skinieniem odwołuje cię na stronę i oglądając się podejrzliwie, czy nikt nie słucha, szepcze:

— Sala jest chłodna!

— Chłodna! Jakto? chłodna! Nie słyszałeś...

— No tak, tak. I cóż ale ja wiem dobrze, co oni gadają, tam — po kurytarzach... Jest wprawdzie jedna loża... To muszą być twoi krewni! Ale za to w orkiestrze! Ho ho! Siedzę pomiędzy całą prasą. — Czy ty jesteś źle z niemi?

— Z niemi? Nie można nigdy wiedzieć na pewno. —

— No, to teraz możesz się upewnić. Nie licz na nich. Uprzedzam cię. Szczególniej jeden z nich gruby, łysy, wysoki — jest wprost okrutny. — I w najpiękniejszych scenach... No dość, że używał, że się akcja wlecze... Jeszcze słówko a ja go...!

— Na miłość Boską, nie czyń tego!

Wieczór kończy się jednogłośnym oklaskiem, wygrana staje się niezawodną; Eugeniusz zachwycony. ale zawsze sceptyczny rzuca się w twoje objęcia z okrzykiem: Ach drogi przyjacielu! Jakżem się obawiał.

Nareszcie skończyło się... Jestem szczęśliwy! Mogło było wprawdzie iść lepiej, ale mniejsza z tem... skończyło się.

Teraz trzeba czekać, co napiszą dzienniki.

Zresztę nie sądźcie, że drugie przedstawienie podwajając powodzenie — zaspakaja go.

Uśmiechając się na odgłos brawa, Eugeniusz wstrząsa głową i myśli: Mój Boże; to idzie — zapewne, ale drugie przedstawienie to jeszcze nie prawdziwa publiczność, a przy tem zaledwie bilety rozdano. Wszystko zależy od prawdziwej publiczności. Jakżeż ona rzecz przyjmie?

Mój właśnie Eugeniusz mówił mi niedawno: Bardzo słusznie robisz przyjacielu, nie spiesząc się z odmienieniem nowej sztuki do teatru. Wprawdzie nie trzeba dać o sobie zapomnieć... W każdym razie masz słuszność. Nie należy się spieszyć. Przyszła próba będzie straszna; uprzedzam cię o tem. Zawiele powodzenia miała twoja ostatnia komedja... Zasłużone, przyznaję, ale było tego trochę za wiele. To też iluś narobił sobie nieprzyjaciół! To nie do uwierzenia. I to zaciekłych, spragnionych odwetu. Strzeż się... i nie licz na taki tryumf, jak ostatni O nie; jeżeli się wywiniesz jako tako, to będzie bardzo szczęśliwie. Ja ci to mówię!

Ach! Ci przyjaciele!

*Edward Pailleron.*

# Do życiorysu Moniuszki.

Świeżo, za inicjatywą p. Jana Karłowicza, powstała w Warszawie przy towarzystwiej muzycznem specjalna sekcja, mająca na celu zachowanie zagłady rozproszonych utworów Moniuszki i zgromadzenie pamiątek po zgasłym przedwcześnie mistrzu. Zadanie to znalazło sympatyczne przyjęcie u wszystkich miłujących sztukę i ceniących pamięć człowieka, który całe dla niej poświęcił życie.

Objawy tego zainteresowania się działalnością sekcji znajdujemy w licznych listach, wychwalających intencję popularyzowania dzieł Moniuszki, lub komunikujących nam bądź to szczegóły artystyczno-bjograficzne, bądź też wskazówki, gdzie i u kogo znajdują się nieznane lub zapomniane jego kompozycje.

Między innemi dowiadujemy się o istnieniu skomponowanej jeszcze podówczas, kiedy mieszkał w Wilnie, litanji, nieznanej zupełnie światu artystycznemu, której rękopism znajduje się w posiadaniu p. Leszczyńskiego, mającego zamiar porozumieć się w tym przedmiocie z p. Karłowiczem.

Dalej otrzymujemy wiadomość o ciekawej pamiątce, t. j. o portrecie Moniuszki, wykonanym z natury jeszcze w r. 1856.

W liczbie uczniów Moniuszki znajdował się między innemi ceniony malarz Wincenty Sleńdziński, zdolny portrecista, który otrzymał w Akademji petersburskiej złoty medal i cieszył się wielkimi względami Kraszewskiego. Nawskróś artystyczna natura — Sleńdziński oprócz malarstwa poświęcał się także muzyce i kształcąc się pod kierunkiem Moniuszki, został niebawem jego ulubionym uczniem, co naturalnie zbliżyło go do mistrza, a z czasem stosunek ten jeszcze bardziej się zacieśnił. Śleńdziński był świadkiem stworzenia niejednego z arcydzieł swojego nauczyciela, a przecudne śpiewniki odegrywał wszystkie na fortepianie przy ich twórcy, który cho-



kła Julcia, wpatrzona w księżyc, który wystawił właśnie rożek po nad kominem kamienicy z przeciwka — ach! co za cudny wieczór! — westchnęła.

— Co tam wieczór! — zaśmiała się Genia — właśnie chciałam wam powiedzieć, że zamyślam jutro napisać list do mych szanownych opiekunów i uwiadomić ich o moim zamiarze co do przyszłości... Na przyszły rok przyjeżdżam do was — mówiła, zwracając się do Julci — i przygotowuję się do matury... niewiem, jak długo to potrwa, rok czy dwa, a może trzy, a potem adieu, ciemna! Galicjo, i jazda do krainy wiedzy, do Zurychu!

— A oni nie sprzeciwią się temu? — zagadnęłam.

— Kto? moi opiekunowie? ależ oni troszczą się o mnie tyle, co o przeszłoroczny śnieg! Te moje parę tysięcy zawarowane są prawie tak, że im z nich przyjść, nie może; odemnie także nic nie wyciągną, bo jestem za mądra, wszystko im wiec jedno, na co je wydam.—

— Szczęśliwa Genia! — pomyślałam sobie — że może tak rozrządzać swoją osobą; ja także marzę o zostaniu dr. medyceyny... a jestem przekonaną, że na marzeniu skończyć się musi!

Choć znowu nie chciałabym wolności za taką cenę; Genia była sierotą biedaczką, a ja miałam rodziców, których kochałam nad życie.

— Coś długo nie widać naszej młodzieży — zauważyła Julcia, wychylając się przez okno — a przecież Franek mówił, że wrócą koło 9.

— Już wpół do dziesiątej — odrzekła Genia.

— Gdzie oni poszli? — spytałam.

— Franuś z Henrykiem poszli na spacer, a Alojzy, ten pewnie jeszcze na lekcjach...

— Wiecie co—zawołała nagle Genia półgłosem— świetna myśl przyszła mi do głowy!... Możnaby pójść teraz pocichutku do ich pokoju i zabrać tę czerwoną książkę... wiecie tę, co to onegdaj rozprawiali o niej z takiem ożywieniem.

— Tę, co to Franuś mówił, że nie jest dla panien?

— Tę, tę...

— Ach, to wybornie! — zawołałam — ale kto pójdzie? Pokój nasz od męskiego oddzielony był najpierw dużym salonem służącym odrazu za jadalnię, w którym spała p. Ostrowska, potem kuchnią, a nakoniec malutkim kurytarzykiem, niby rodzajem przed-



I.

U pani Ostrowskiej mieszkało nas dwie; ja i Genia Tuhanowiczówna. Ja i Genia chodziłyśmy do ósmej wydziałowej, a Julcia, córka p. Ostrowskiej na pierwszy kurs seminarjum nauczycielskiego. Była z nas trójka wesoła jak mało; a przystojna, a żywa, a dowcipna, że gdyśmy rano wszystkie razem szły do szkoły, to „dżusy" urzędnicze spieszące do biura omal, że nie powykręcali sobie karków, oglądając się za nami.

Julcia najstarsza z nas, licząc sobie 17 wiosnę, była jasną blondynką i miała pozór sentymentalny, choć w gruncie rzeczy był to filut, jakich mało. Była też z nas najtaktowniejszą i do nauki najpilniejszą. — Genia, drobna, szczuplutka brunetka, wesoła jak żywe srebro, na pozór złośliwa, serce jednak miała złote i skora była zawsze zarówno do poświęceń jak do wszystkich figlów i psot możliwych, które płatałyśmy tysiącami, to naszym czcigodnym profesorom i profesorkom, to znów drugiej trójce rodzaju męskiego, używającej również przytułku „na stancji" p. Ostrowskiej. O ile nasza trójka była wesoła i pusta, o tyle trójka nr. 2. była poważna i pełna zrozumienia swej godności. Ztąd też żyłyśmy prawie ciągle w ustawicznej niezgodzie. Kłótnie i spory były na porządku dziennym, z czego rozumie się wynikły gniewy, a z nich przepraszania i godzenia, które jednak miały trwałość śniegu marcowego.

Lecz słówko o trójce nr. 2.

Franio, syn p. Ostrowskiej, był to elegancki blondynek, podobny do Julci jak dwie krople wody... Nieraz mówiłyśmy, że gdyby nie ubranie i nie ten pełen nadziei, zasiewający się jasny wąsik, to gdyby

dząc po pokoju słuchał *interpretacji* ucznia nucąc półgłosem, rękopismy poprawiał.

Otóż w posiadaniu *p. S.*, znajduje się dotąd rysunek z r. 1856-go *przez* niego z natury rysowany a przedstawiający Moniuszkę w *jego* własnem mieszkaniu, siedzącego przy fortepianie podczas próby z *Bouoldim* Nowakowskim i innymi artystami. *Bouoldi* podówczas już entuzjazmował słuchaczów melodjami *Moniuszki*. Na tymże samym rysunku znajduje się także jeden słuchacz, siedzący na fotelu. Jestto nijaki Brodzki, jeden z najgorętszych ówczesnych wielbicieli mało znanego jeszcze podówczas Moniuszki.

Czyżby nie warto postarać się o pozyskanie tej pamiątki do zbiorów sekcji, albo przynajmniej o utrwalenie jej przez podanie reprodukcji w jakiem piśmie ilustrowanem?

Pierwszy repredukowany portret Moniuszki był dziełem Karola Rypińskiego, żyjącego jeszcze a sędziwego już dziś człowieka. Portret ten wyszedł w zakładzie Ant. Kiukowskiego w czwartem dziesięcioleciu bieżącego wieku. Karol Rypiński dziś starzec 90-letni, ostatni zapewne z uczniów słynnego w swoim czasie Rustema, cieszy się dotąd pożądanem zdrowiem i siłami, i pędzla dotąd z rąk nie wypuszcza. Zdumiewającym doprawdy dowodem niespożytych sił Rypińskiego jest chyba fakt, że niedawno podjął się wykonania 25 ciu obrazów treści religijnej i zabrawszy się ze zwykłą energją do dzieła obecnie nad niemi wytrwale pracuje. Rypiński jest nestorem malarzy naszych, a wielką jego zasługą jest to, że w portretach swojego ołówka zachował rysy prawie wszystkich wybitniejszych osobistości swojej epoki. Między innemi zaznaczyć warto, że pierwsze znane portrety Kraszewskiego z jego lat młodzieńczych wykonali prof. Smokowski i Rypiński.

Oprócz ucznia Moniuszki, wspomnianego Śleńdzińskiego, wiele ciekawych wiadomości mógłby o nim udzielić serdeczny przyjaciel mistrza dr. Titius, któremu Moniuszko poświęcił swoje prześliczne „Dwie zorze“ ze „Śpiewnika domowego“.

Nie od rzeczy może będzie przypomnieć, że w roku bieżącym upływa właśnie pół wieku od wyjścia na widok publiczny pierszego „Śpiewnika“ Moniuszki. *K. W.*

## SZAMPAN.

Wyrób wina szampańskiego rozwijać się zaczął na dobre dopiero w XIV. wieku, ale od tego czasu aż do wieku XVIII. rozgłos tego wina zwiększał się ciągle, a uniwersytet paryski ogłosił uroczyście, że wino szampańskie nietylko jest najlepsze ze wszystkich win, ale i najzdrowsze.

Prawdę mówiąc, prawdziwe szampańskie hoduje się tylko w tej części departamentu Marny która przytyka do Eperny i Reims. Winnice zajmują tu przestrzeni około 15.000 hektarów, z niezmierną troskliwością uprawnianych.

W pomyślnych latach produkcja wina białego szampańskiego wynosi najmniej 20 milj. butelek, z których corocznie wysyłają za granicę 13-15 milj. butelek. Od lat 40 zwłaszcza wywóz się niezwykle głównie do Anglji, Ameryki, Niemiec i Rosji, a dom Werle i ps. (spadkobiercy firmy jeszcze popularniejszej: „Wdowa Clicquot Ponsardin,) znany jest w całym świecie. Poeci, nawet nietuzinkowi opiewali szampana.

Spadkobiercy wdowy Clicquot mają swój zakład, biura i piwnice w Reims, w tem miejscu, gdzie dawniej była komandorja Templarjuszów, a później aż do czasów rewolucji francuzkiej rycerzy św. Jana z Jerozolimy. Cudzoziemcy, przechodzący tamtędy, ani przypuszczają, że pod ich stopami setki rąk zajętych jest codziennie poruszaniem, korkowaniem, pieczętowaniem i pakowaniem tysiąca skrzyń z winem szampańskiem.

Wiadomo, iż olbrzymie pokłady kredowe tworzą przeważną część gruntu w tej okolicy; wiadomo również, że wielkie winnice w Szampanji mają grunt kredowy, pokryty roślinnością niezbyt bujną. Węglan wapna mieści się piątej części, glina i krzemionka stanowią resztę części gruntu. Temu składowi, oraz umiejętnym preparacjom w piwnicy, zawdzięcza wino szampańskie wyborne swe zalety.

Temperatura równa i pozbawiona wszelkiej wilgoci panuje w tych piwnicach; dzięki też jej oraz naturze gruntu i niezmiernie staranym manipulacjom, wino Clicquot nabywa zapachu i doskonałości.

Stare rodziny w Szampanji przekazują z pokolenia na pokolenie odziedziczone winnice i chodzą koło nich z największą troskliwością, dbając o to, iżby rozgłośna marka nie straciła na sławie.

Baron Clicquot Ponsardin, pierwszy przed wiekiem założyciel słynnego domu, pozostawił jedyną córkę, która w r. 1874 poślubiła Franciszka Clicquot. Zaraz po ślubie zakupili młodzi małżonkowie najlepsze winnice okoliczne, jakolwiek jeszcze wtedy zajmowali się przeważnie przędzalnią i interesami bankowemi. Dopiero po śmierci p. Clicquot, 27-letnia jego wdowa okazała niezwykłe zdolności organizatorskie i przemysłowe, zaczęła zaś od pracy własnorecznej razem z robotnikami w piwnicach i na to, rzec można wynalazła trudny sposób „poruszania butelek“, który jest najtrudniejszym i najdelikatniejszym w przygotowaniu wina Szampański go. W r. 1821 wstąpił do domu wdowy jako apikant p. Werle. Wnet nietylko, że się znakomicie poznał z interesami domu, ale miał sposobność przyjścia z pomocą pani Clicquot w krytycznej chwili. Skutkiem tego przyjęła go za spólnika. Odtąd aż do r. 1874. prowadził on ten dom bardzo szczęśliwie, a gdy zmarł, syn jego hr. Alfred Werle, stał się jedynym właścicielem domu Clicquot. Córka p. Werle poślubiła syna p. Magne, ministra finansów, a hr. Alfred ożenił się z córką ks. Montebello *Sic itur ad astra!*

Dom ten posiada obecnie wielką liczbę winnic najsławniejszych szampańskich, a mianowicie: Versenay, Bouzy, Le Mesnil, O'ger. Wdowa Clicquot umarła w r. 1866. w wieku lat 89.

Zbiór winogron odbywa się najczęściej w pierwszym tygodniu października czem przeważnie zajmują się kobiety. Zazwyczaj wybiera się najpierw winogrona najdojrzalsze, co się powtarza kilkakrotnie, butelki muszą ważyć 850 do 900 gramów, ze szkła o jednostajnej grubości i wysokości. Próbuje się też ich wytrwałość.

Wina szampańskie fabrykują się z winogron czarnych i białych; białe są więcej musujące i bardzo cenione, ale czarne są szlachetniejsze treściwsze i zazwyczaj wyższego gatunku.

Czas trwania potrzebnych przygotowań wina wynosi od lat trzech do pięciu, stosownie do których wina mają być przesłane.

W kilka godzin potem, kiedy wino spływa już z tłoczni, przelewa się je w beczki, w których się odbywa pierwsza fermentacja. W grudniu kiedy wino stało się czyste, miesza się rozmaite gatunki. W maju przelewa się je w butelki, korkuje i pieczętuje. Musi ona tak leżeć przez dwa lata, ażeby dojrzało. Potem butelki stawia się na pulpitach i porusza codziennie. Poruszanie trwa miesiąc lub dwa, a ma na celu to, żeby aż do korka doszedł osad, który się wytworzył w butelce. Wyrzuca się zaś osad za pomocą gwałtownego otwarcia butelki, która to operacja odbywa się ręcznie i jest bardzo trudna i drobiazgowa, poczem dodaje się do wina cukier, które ono utraciło podczas fermentacji, nareszcie i ostatecznie zamyka się znowu butelki.

Ztąd osądzić łatwo, ile trzeba pracy, starań i trudu do przygotowania jednej butelki wina szampańskiego, które, zanim się dostanie na nasze stoły, przechodzi często przez czterysta rąk.

Nic więc dziwnego, że szampańskie, nawet bez cła, jest stosunkowo drogie. *Talis.*



się ubrał w Julci suknie, byłaby kubek w kubek druga taka samiusieńka Julcia... Muszę dodać że był to jeden z najdrażliwszych punktów Frania, to porównywanie go do siostry. Młodzieniec ten bowiem czerpiący z niespożytej wiedzy Temidy w samych jej początkach, uwielbiał właśnie t. zw. „męskość“ i polował na nią, co mu sił starczyło.

Ale przystojnym i prawdziwie męskim chłopcem był naprawdę Henryk Bogdański, uczęszczający na pierwszy rok medycyny. Nie miał wyżej po nad 20 lat; szatyn, średniego wzrostu, o rysach twarzy regularnych i miłych, żywy, sprytny i gaduła, podobał się wszystkim, z wyjątkiem, rozumie się naszej trójki, w której wszystkie z zasady byłyśmy nieprzyjaciółkami mężczyzn, a wielkiemi zwolenniczkami emancypacji kobiet.

Naturalnie że dałyśmy sobie słowo, nigdy nie wychodzić za mąż, a bronić swoich zasad do ostatniego tchu.

Trzecią figurą tej trójki, była doprawdy „figura comica“ niejaki Alojzy Jaworski. Jeżeli kto, to on był nieustannym celem naszych psot, żartów i docinków naturalnie zawsze nawpół ukrytych. Bogiem a prawdą nie miała żadna z nas tyle cywilnej odwagi, by wyśmiać go otwarcie; takie to było czupiradło ponure, a odstraszające i milczące. Wyglądanie jego było też komiczne, co się zowie. Suchy, długi, smagły, o cerze bladej i trochę sinawej, o wielkich czarnych, wpadniętych oczach, o włosach również czarnych a długich i pokudłanych, miał ubranie zawsze biedne i zaniedbane, surdut wytarty, kołnierzyk brudny, krawat pomięty... słowem był niemożliwy..

Młodszy o rok od Henryka uczęszczał z nim razem na medycynę. Pilny był i zagrzebany w książkach zawsze. W naszych rozmowach i dysputach nie brał nigdy udziału, chyba zaczepiony wyraźnie, a i wtedy odpowiadał krótko i mrukliwie, jakby chcąc się pozbyć czemprędzej tego trudu.

O sobie tembardziej nic nie mówił, nic też o nim niewiedziałyśmy prócz tego, co Franuś opowiadał Julci, mianowicie: że jest sierotą, że jest biedny i że sam się utrzymuje z lekcyj. Co innego Henryk. Ten znowu był niewyczerpany w swoich opowiadaniach: jak to u nich na wsi pięknie i wygodnie, ile rodzice



mają dochodu, jaki otwarty i pański dom prowadzą, jakie jego siostry piękne, a jak im asystują na zabawach...

— Prawda też — kończył — że to są panny w całem tego słowa znaczeniu dobrze i po kobiecemu wychowane. O emancypacji im się nie śni, a nie mają pojęcia, co to jest równouprawnienie...

Rozumie się że był to przytyk do nas, na który Genia zaraz nie omieszkała się odciąć.

— Prawda i to — odparła, bawiąc się niedbale widelcem — że i mężczyźni, którzy im asystują są to zniewieściali hreczkosieje, którzy śpią, jedzą i żyją nie wiedząc, ani jak, ani po co... Nie rozumieją też zapewne, co znaczy wyraz „ludzkość“, a o prądach które w niej nurtują ani im się nie śni... naturalnie... Oczywiście, Henryk stawał natychmiast w obronie spokojnych adoratorów swych sióstr, Genia zaś w obronie pokrzywdzonych kobiet; — do Henryka przyłączał się Franuś; — ja i Julcia stawałyśmy przy boku Geni i już były dwa obozy na wojennej stopie...

Dyssertacje te odbywały się zwykle przy kolacji jako przy jednym, dłuższym punkcie zbornym nas wszystkich. Śniadania i podwieczorku, prócz niedzieli nie jadaliśmy nigdy razem z powodu różniącego się wielce rozkładu naszych nauk i zajęć, obiad był jedzony zwykle w pośpiechu, gdyż prawie zawsze na popołudnie znalazło się coś do zrobienia przed szkołą, a więc pozostawała nam jedynie kolacja jako czas do odpoczynku, a który my obracaliśmy na staczanie walk zawziętych.

Jeden Alojzy siedział zawsze milczący, obojętny i głuchy na wszystko. Czasem w chwili, gdyśmy byli w największym zapale, słowa krzyżowały się jak miecze, a docinki wybuchały jak rakiety, wzrok jego zimny przeszedł przelotnie po naszych rozpłomienionych twarzach, a na usta wybiegło na sekundę coś niby nakształt uśmiechu, a co było właściwie ironicznem skrzywieniem tylko.

— On jest głupi — zadecydowała raz Genia, gdyśmy siedziały przy otwartem oknie, a wieczór był majowy, przecudny — on jest głupi, powiadam wam, nie rozumie nas, nie wie, o co nam chodzi i dlatego nie wtrąca się do rozmowy...

— Naturalnie, boi się skompromitować... — rze-